

# DZIECI TUŁACZE

**Łucjan Z. Królikowski OFM Conv., *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tułaczym szlaku 1939-1950, Bratni Zew, Kraków 2008, ss. 352 (plus wkładka ilustracyjna)***

W kwietniu ukazała się na polskim rynku (wcześniej wydawana poza krajem) książka o losach polskich sierot, wędrujących wraz z armią z sowieckiego raju przez Persję do Libanu i Egiptu. Historie młodych tułaczy opisał ich opiekun – franciszkanin o. Łucjan Królikowski. IPN, uznając wagę tej publikacji, obdarzył jej polskie wydanie swoim patronatem. Poniżej publikujemy krótkie wspomnienie o. Królikowskiego, nagrane podczas jego niedawnego pobytu w kraju.



Pochodzę spod Zielonej Góry. Kiedy miałem trzy lata, rodzice wyjechali do wolnej Polski. Wychowywałem się w Poznaniu. W 1934 roku wstąpiłem do Małego Seminarium Misyjnego w Niepokalanowie. Poznałem tam ojca Maksymiliana Kolbego. Trzy lata byłem pod jego opieką. Wiele mu zawdzięczam, zawsze go podziwiałem. Z wyglądu był człowiekiem niepozornym, niskim, w okularach, z długą brodą, w połowie czarną, w połowie ryżą. Gdyby ktoś przyjechał i powiedział proszę mi go wskazać, odpowiedziałbym: Przedefilują przed panem wszyscy zakonnicy, proszę samemu zgadnąć. Jestem pewny, że o. Maksymiliana wskazałby na samym końcu. Zupełnie niczym się nie wyróżniał. Lubił grać z nami w warcaby. Pamiętam, że kiedy trafiłem do Niepokalanowa, wrócił akurat z Japonii. Miał duże poczucie humoru. Raz zadał nam pytanie, czy wiemy, jak jest po japońsku góra. Odpowiedzieliśmy że nie, znamy Zdrowaś Mario po japońsku, ale jak jest góra, nie wiemy. „To jama – przeciwieństwo góry”, śmiał się. Kiedy pytaliliśmy się go, dlaczego ma brodę z góry ryżą, a pod spodem czarną, mówił: „Bo jak byłem w Nagasaki, to braciom zabrakło esencji do herbaty. Kazałem im zagotować wodę. Potem włożyłem do niej brodę. Wtedy mi się odparowała”.

## Lwów

We Lwowie studiowałem filozofię. Enkawudziści kilka razy przychodzili do klasztoru pod rozmaitymi pretekstami, kiedy mnie nie było. Niby szukali broni. Tak naprawdę mnie. Pewnego dnia odwiedził nas oficer NKWD. Powiedział, że musi mieć jakiś mój dokument tożsamości.

Dałem się na to nabrać. Rano po pierwszej lekcji teologii poszedłem na ulicę Kurkową, gdzie był komisariat. Tam stałem w tłumie na zewnątrz pod ścianą. Bardzo wielu ludzi czekało po *udostowlietworzenie*. Po pięciu godzinach wyszedł rosyjski żołnierz. „Co wy za kulturalny naród, przeszkadzacie przechodniom. Proszę wejść na dziedziniec komisariatu”. Weszliśmy. Zaryglowali drzwi. Wyczytali nazwiska. Wśród nich moje. Zostaliśmy aresztowani. W nocy wywieźli nas na stację kolejową. Wpakowali do bydłowego wagonu. Nigdy nie powiedzieli mi, dlaczego mnie wywożą. Przypuszczam, że dlatego, że byłem studentem. Niszczyli polską inteligencję, żeby obezhłowić naród. Aresztowani byli wszyscy, którzy mieli jakieś stanowiska. Kaprale, sierżanci.

Wieźli nas dwa tygodnie pociągiem. Dziura w podłodze spełniała rolę toalety. Wieszaliśmy tam koc. Szybko pojawiły się wszy. Byliśmy strasznie głodni. W czasie postojów pociągu czasem ktoś na chwilę wyskakiwał w poszukiwaniu jedzenia. Często były to dwunastoletnie dzieci. Zdarzało się, że pociąg odjechał i dziecko zostało.

## Łagier

Zawieźli mnie do łagru pod Archangielskiem. W drewnianych barakach w drewnie siedziały miliony pluskiew. Pełno ich było w postaniach. Tak mnie gryzły, że zakładałem sobie na głowę pończochę. Jak mnie zabierali ze Lwowa, byłem tylko w spodniach i koszulce, bo było lato. Nie miałem żadnej zmiany bielizny. Ciągle w tych samych majtkach, koszulce. Szybko wszystko mi się zdarło. Mieliśmy łykowe buty opasane sznurami. Sami robiliśmy je sobie z kory. Byliśmy na mokradłach, więc ciągle mieliśmy wodę w butach. Jak były przy-mrozki, odchodziliśmy od zmysłów z bólu. Nigdy w obozie nie widziałem mydła. Nie było ciepłej wody. Był to mały łagier, przebywało tam z 500 osób.

Kobiet i dzieci było niewiele. Pamiętam jedną matkę. Przycinała na opał korę. Była bardzo zżyta ze swoją córką. Pewnego dnia zabrali jej dziecko do ochronki w Moskwie. Nie mieliśmy na to żadnego wpływu.

Jeśli ktoś miał ze sobą jakiś dobytek, wymieniał go na jedzenie, na chleb. Ja nie miałem nic. W południe dostawaliśmy kaszę, wieczorem talerz zupy, właściwie to była sama woda. Pływały w niej kawałki kapusty. Mięsa i owoców nigdy nie było. Dostawaliśmy dzienny przydział 600 gramów chleba. Jeśli ktoś chorował, porcja go omijała. Kiedy przywieźli mnie do obozu, badali, kim jestem. Pytali się, dlaczego byłem studentem. Miałem dwa imiona, jedno zakonne Zbigniew, z chrztu Łucjan. Każdy mówił do mnie Zbyszek. Według dokumentów wiedzieli, że jestem Łucjan. Skąd to drugie imię? Męczyli mnie o to. Siedziałem na małym krzeselku, ślaniałem się już z głodu. Tłumaczyłem, że to imię zakonne. Nie docierało to do przesłuchującego mnie enkawudzisty, bo nie wiedział co to jest zakon. Podejrzewał, że należałem do paramilitarnej grupy zwalczającej komunistów. Wszystko o mnie wiedzieli. Nawet to, że chcę się uczyć na księdza. Nie chciałem im tego sam powiedzieć. Pytali się: „Co chciałeś robić po filozofii?” – „Mogę iść na matematykę, polonistykę” – odpowiadałem. – „Ty chciałbyś być świeszczennikom”. Musiałem w końcu przytaknąć.

Siedziałem w obozie z policjantami, którzy sami zgłosili się do NKWD. Chcieli jechać do Rosji, żeby się ukryć, uniknąć mordowania w więzieniach.

Pracowałem w brygadzie, w której brygadierem był skazany komunista Gładkow. Często nam mówił – „Na razie musimy ciężko pracować, ale przyjdą czasy, że będziemy pracować trzy dni w tygodniu, bo maszyny za nas wszystko zrobią”.

Podejrzewam, że w pobliżu było pełno innych obozów. Kiedy rąbałem drzewo, słyszałem odgłosy ludzkie w rozmaitych częściach w głębi lasu. Widocznie zbliżaliśmy się do więźniów innego łagru. Razem z Gładkowem zwalaliśmy drzewa dla całej brygady. Miałem wtedy 21 lat. Brygadier zawsze sobie przypisywał koeficjent za pracę 200 procent. Mi dawał 110 procent, innym 90. Od tego zależała porcja chleba. On z astmą zwał czterech drzewa dziennie, ja 20 drzew. Musiałem się schylać aż do ziemi. Strasznie bolał mnie grzbiet. Pracowałem jak dziki osioł. Oskarżyłem go przed komendantem nadleśnictwa, że wyzyskuje ludzi. „Gdzie tu jest komunizm?” – pytałem. Zwolnili go i przenieśli do innej brygady. Wezwali mnie na rozmowę. „Znasz się na drzewie? Wiesz na co je przeznaczać, umiesz odróżniać, czy jest chore czy zdrowe?”. Powiedziałem, że się tego nauczyłem od Gładkowa. Przepytywali mnie, na co będą sortował drzewo. „Na deski piłowocznik, na podpórki do kopalni rudstojka, na

instrumenty muzyczne, na maszty” – odpowiadałem. Zostałem brygadierem. Od tego czasu zaczęliśmy dostawać równe porcje chleba. Kiedy ktoś zmarł, nie pozwalali nam odmawiać modlitw. Chowaliśmy go w lesie. Od czasu do czasu, zwłaszcza na dzień rewolucji, zbierali nas na placu. Z Moskwy przyjeżdżał mówca. Wychwalał komunizm. Między nami były wtyczki, które kazały nam klaskać. Nie chcieliśmy tego robić. Agenci mówili: „odbiorą wam za to chleb”. Wtedy klaskaliśmy. Pewnego razu zwróciłem się do komunisty *towariszcz*. On ze złością odpowiedział: „*Kakoj ja tiebie towariszcz? Graždanin skazi!*”.

## Jesteście wolni

Ostatni dzień w łagrze zapamiętam do końca życia. Pracowałem z księdzem Gruzą, wtedy jeszcze klerykiem. Byliśmy we dwójkę na wyrębie. Najpiękniejsze sosny zostawialiśmy na rozpylenie. W pewnym momencie widzimy, że jakiś Rosjanin biegnie do nas. Był to jeden z komunistów, który miał poza obozem rodzinę. Nigdy z nami nie rozmawiał. Nawet ze swoimi nie rozmawiał. I nagle woła do nas z daleka: Jesteście wolni. Nie wierzyliśmy w to. Podszedł bliżej i wytłumaczył nam, że ogłoszono amnestię. Zabraliśmy piły, siekiery i wróciliśmy do obozu. Tam Polacy już świętowali. Wieczorem przedefilowaliśmy przed biurem komendanta NKWD i śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

## Dzieci

Po „amnestii” dla Polaków skończyłem Szkołę Podchorążych Artylerii w Kirgistanie. Tam miałem pierwszy kontakt z polskimi sierotami. Kiedyś zauważyłem, że dookoła podchorążówki zbiera się ludność cywilna z dziećmi. Utworzyli sierociniec. Raz przyjechał jakiś Uzbek z kilkorgiem polskich sierot. Przywiózł je do polskiej ochronki a nie rosyjskiej! Uzbeki nie lubili Rosjan. Widziałem, jak mężczyzna ten koczował wśród bawełnianych pól, aryk. Maluchy bawiły się z nim. Potem obserwowałem ich pożegnanie. Podnosił te dzieci i całował. One obejmowały go, dziękowały za przywiezienie, opiekę.

Był to rok 1942. Potem widziałem niektóre dzieci na stacjach kolejowych. Na przykład w Świerdłowsku. Koczowałem tam kilka dni i spałem na stacji. Widziałem bardzo dużo polskich dzieci z matkami. Ojcowie byli w więzieniach. Jedna matka siedziała na tobołkach, dzieci dookoła niej, obok dziadka, który miał problem z pęcherzem, wszędzie mocz. Dzieci wołały: „Mamo, kiedy będziemy jeść?”

Potem z Wojskiem Polskim wyjechałem do Persji i Iraku. W Libanie studiowałem teologię. Byłem w 12. pułku artylerii ciężkiej w Iraku. Mój pułkownik, jak się dowiedział, że idę do seminarium, był wściekły. Wysłałem list z Kanakiny na północy Iraku do biskupa Gawliny. Była to prośba, żeby mnie przyjął do seminarium. Pomiąłem całą drogę służbową. Tak naprawdę trzeba było napisać list do mojego pułkownika, on przekazałby to generałowi, dowódcy artylerii. Ten z kolei przesłałby to Andersowi. Anders oddałby Gawlinie. Mój kolega przyjechał ze stolicy i powiedział, że nie ma czasu, bo Gawlina odlatuje do Anglii. „Napisz list dzisiaj, to mu zawiozę”. Tak zrobiłem. Dostałem za to ostrą reprimendę. Pułkownik wezwał mnie do namiotu: „Mogę pana za to wsadzić do ciupy!”

Po święceniach byłem przez 6 miesięcy kapelanem wojennego szpitala w Egipcie w El-kantara. Potem trafiłem do Tanzanii, gdzie przebywało 2 tysiące polskich sierot. Sybiracy. Uratował je Anders. Prosił żołnierzy, żeby przypisywali je jako swoje dzieci. W ten sposób wyjechało wiele dzieci. W Tanzanii, u stóp Kilimandżaro uczyłem w szkołach. Było tam kilka szkół podstawowych, gimnazja krawieckie, mechaniczne, rolnicze, handlowe.

Zajęty byłem po uszy. Do południa sześć godzin w szkole, po południu sześć godzin w harcerstwie. Wszystkie dzieci do czegoś należały, do zuchów, do Sodalicii Mariańskiej. Często robiliśmy ogniska harcerskie w Tengeru.

W końcu zdecydowano, że te dzieci muszą opuścić Afrykę. Nikt nie chciał z nimi jechać. Zdecydowałem się ja, bo je kochałem. Był rok 1949. Pojechaliśmy do Włoch. Sierot było 150. Rząd Polski z początku próbował namówić je na powrót do Polski. Przyjeżdżali towarzysze z ambasady komunistycznej do Salerno i namawiali je, żeby wróciły do Polski. Prosimi, żeby im dać adresy krewnych w Polsce. – „Dajcie nam adresy wujków, a my, jeśli będą głodni, dostarczymy im paczki żywnościowe. Jeśli nie mają różańców, to też im damy”. Dzieci odpowiadały – „Proście nas, żeby wrócić do Polski. Do jakiej Polski i gdzie jest ta Polska? Po Jalcie już została przydzielona do Rosji. Straciliśmy tam swoich rodziców”.

Kiedy ludzie w Salerno dawali mi wskazówki, co zrobić z tymi dziećmi, dokąd uciekać, płakałem. Nie wiedziałem czy ich rady są szczerze, czy to nie wtyczki komunistyczne. Rządowi nie udało się nakłonić dzieci do powrotu. Wysłali notę z Warszawy do rządu włoskiego, że na terenie Włoch znajduje się grupa polskich sierot, do których mają prawo. Prosimi, żeby te dzieci dostarczyć do granicy. Rząd włoski nie wiedział, jak odpowiedzieć na tę notę. Zwrócił się do ambasady polskiej rządu na uchodźstwie. Tam utworzył się specjalny komitet opiekuńczy. Komitet obiecał, że podstawy nam pociąg. Nie było innej drogi, jak ucieczka z Włoch do Niemiec, do enklawy amerykańskiej. W Neapolu czekał na nas pociąg z lekarzem, sanitariuszkami, kucharzami. Pewnego dnia rano pod pozorem, że jedziemy na wycieczkę, pojechaliśmy autobusem do Neapolu i wsiedliśmy do podstawionego pociągu. Dojechaliśmy do Bremy.

Nie mieliśmy żadnych wiz. W Austrii zatrzymali nas na granicy. Prałat Meysztowicz z komitetu opiekuńczego dogadał się w końcu z celnikami. Z Bremy wyjechaliśmy do Kanady.

7 września 49 r. przyjechaliśmy do Halifaksu. Kiedy zeszliliśmy na ląd w Kanadzie, mieszkańcy powitali nas – *vous êtes de nouveaux canadiens* – jesteście nowymi Kanadyjczykami. Wzruszyłem się.

W tej chwili jedna trzecia sierot nie żyje. Z żyjącymi mam ciągle kontakt.

Moje dzieci miały po dwa lata, kiedy były wywiezione. Mało co pamiętają. Prosiły mnie, żeby spisać ich historię. Napisałem książkę. Ostatnio ktoś ją przeczytał w Nowej Zelandii. Zobaczył pod zdjęciem swoje nazwisko. Była na nim jego siostra. Nawiazali ze sobą kontakt.

**Łucjan Królikowski** – urodził się w 1919 r. w Nowym Kramsku, w 1934 r. rozpoczyna naukę w Małym Seminarium Misyjnym w Niepokalanowie, po czterech latach wstępuje do zakonu franciszkanów. Wyjeżdża do Lwowa na studia filozoficzne. W 1940 r. aresztowany przez NKWD. Zostaje wywieziony do Archangielska, gdzie pracuje przy wyrębie tajgi. Po „amnestii” dla Polaków kończy Szkołę Podchorążych Artylerii w Kirgistanie. Z Wojskiem Polskim wyjeżdża do Persji i Iraku. W Libanie kończy studia teologiczne. W Bejrucie w 1946 r. otrzymuje święcenia kapłańskie. Pełni obowiązki kapelana wojskowego w II Korpusie w Egipcie. Po demobilizacji armii pracuje wśród byłych zesłańców syberyjskich w Tengeru w Tanzanii. Kiedy w 1949 r. Brytyjczycy likwidują tamtejsze obozy, Królikowski zabiera polskie sieroty. Po pobycie we Włoszech i Niemczech cała grupa trafia do Kanady.

Oprac. Patrycja Gruszyńska-Ruman